

Pamiętniki Adama i Ewy



MARK TWAIN

Pamiętniki Adama i Ewy

TŁUM. PIOTR MARCINKÓW

Wypisy z pamiętnika Adama

Z manuskryptu przetłumaczył: Mark Twain

Pierwsze fragmenty tego pamiętnika przełożyłem jakieś kilka lat temu. Mój znajomy wydrukował nawet parę egzemplarzy, jednakże nigdy nie trafiły one do rąk czytelników. Jako że od tego czasu poczyniłem pewne postępy w odcyfrowywaniu Adamowych hieroglifów, a sam autor stał się chyba wystarczająco rozpoznawalną i ważną dla naszego społeczeństwa postacią, postanowiłem udostępnić publiczności niniejsze wypisy — M.T.

PONIEDZIAŁEK

Z tym nowym stworzeniem z długimi włosami jest niezły kłops. Wszędzie go pełno i ciągle się za mną szwenda. Nie podoba mi się to; bo co, źle mi było samemu? Niech się trzyma z resztą zwierząt, ja nie przywykłem do towarzystwa... Pochmurnie dziś, wiatr ze wschodu; chyba czeka nas deszcz... Chwila, *nas*? A to słowo to skąd?... Ach, już wiem — to nowe stworzenie tak mówi.

WTOREK

Dziś oględziny wielkiego wodospadu. To, jak sędzę, najwspanialsza część tych włosów. Nowe stworzenie nazywa go wodospadem Niagara — a dlaczego tak, to jestem pewien, że nie wiem. Mówi, że to *wygląda* jak wodospad Niagara. To żaden powód, tylko zwykła krnąbrność i kretynizm. Sam nie mogę niczego nazwać, bo nowe stworzenie, nim zdążę zaprotestować, już ma pomysł na wszystko, cokolwiek się zjawi. I zawsze ta sama wymówka — że to *wygląda* jak coś. Taki dodo na przykład. Ponoć ktokolwiek go zobaczy, ten w moment rozumie doskonale, że to „wygląda jak dodo”. No i nie ma co gadać, nazwy już się nie zmieni i będzie dodo. Tylko się męczę, zaprzatając sobie tym głowę, a pożytek z tego żaden. Dodo! Taki z niego dodo, jak i ze mnie.

ŚRODA

Zbudowałem chatkę, która doskonale chroni przed deszczem — i co, i nie mogę w niej mieszkać w spokoju, bo nowe stworzenie bezprawnie mnie nachodzi. Próbowalem wystawić je na zewnątrz, lecz wtedy zaczęło łać wodę z tych dziur, którymi patrzy, ocierając je przy tym wierzchem łap i wydając odgłosy podobne do hałasu, jaki robią inne zwierzęta, gdy coś im dolega. Żeby to chociaż tyle nie mówiło; ale to gada bez ustanku. Brzmi to może jak zwykłe świństwo z mojej strony, jak pogarda wobec biednego stworzenia, ale to nie tak. Po prostu nigdy wcześniej nie słyszałem ludzkiego głosu, a każdy dźwięk nowy i dziwny, który zakłóca ową dostojną cichość rozmarzonych mych chwil osamotnienia, stanowi obrazę dla moich uszu i zdaje się pożałowania godnym fałszem. W dodatku ten akurat dźwięk jest wyjątkowo blisko — tuż nad moim ramieniem, tuż przy moim uchu,

najpierw z jednej, potem z drugiej strony — tymczasem dotąd zwykłem słyszeć dźwięki jedynie z odległości, raz większej, raz mniejszej, ale jednak z odległości.

PIĄTEK

Nazywanie trwa w najlepsze, bez względu na mój sprzeciw. Swego czasu miałem świetną nazwę dla tych włości, piękną i melodyjną — OGRÓD EDENU. Prywatnie wciąż jej używam, ale publicznie to już nie. Nowe stworzenie mówi, że tu same skały, lasy i land-szafty, a to nie ma w ogóle nic wspólnego z ogrodem. Rzekomo to *wygląda* jak park i nie przypomina absolutnie niczego z *wyjątkiem* parku. W rezultacie i bez jakichkolwiek konsultacji ze mną posiadłość ma nową nazwę — PARK WODOSPADU NIAGARA. Przecież to czysty despotyzm. Pojawiła się nawet tabliczka: SZANUJ ZIELEŃ.

A taki kiedyś byłem szczęśliwy.

SOBOTA

Nowe stworzenie zjada dużo owoców. Za dużo. Najpewniej zaraz nam się skończą. *Nam*, znówu to *my*, obce słowo, które słyszę tak często, że już sam go używam. Dziś rano gęsta mgła. W taką pogodę nie wychodzę. A nowe stworzenie, owszem, wychodzi — wychodzi w każdą pogodę, a potem naniesie jej do mnie tymi ubłoconymi stopami. I gada, wciąż gada. Cisza i spokój opuściły mój dom.

NIEDZIELA

Jakoś poszło. Te niedziele stają się coraz bardziej uciążliwe. W listopadzie postanowiono, że to będzie dzień wypoczynku, a przecież już wcześniej miałem sześć takich dni w tygodniu. Dziś rano nowe stworzenie próbowało strącić jabłka z tego drzewa, co to jest zakazane.

PONIEDZIAŁEK

Nowe stworzenie mówi, że na imię mu Ewa. W porządku, żaden problem. Powiedziało, żebym używał tego imienia, kiedy będę chciał je zawołać. Odparłem, iż w takim razie nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa. To słowo ewidentnie wzbudziło w nim szacunek dla mojej osoby; i faktycznie, to porządne, okazałe słowo i powinno będzie wtórowania. Oprócz tego, stworzenie ponoć nie jest żadnym *nim* ani *tym*, tylko *nią* i powinienem mówić o *niej*. To raczej wątpliwe — ale dla mnie bez znaczenia. Czymkolwiek jest, niech sobie będzie, byleby znalazła coś do roboty i siedziała cicho.

WTOREK

Od dziś całą posiadłość zaśmiecają wstrętne nazwy i okropne tabliczki:

DO WODOSPADU □

NA KOZIĄ WYSPĘ □

DO JASKINI WICHRÓW □

Mówi, że byłby z tego parku niezły kurort letni, gdyby tylko wzrósł popyt. Kurort letni. Kolejny jej wymysł, puste słowa, żadnego sensu. Bo co to niby jest kurort letni? Ale lepiej nie pytać — ona potrafi bardzo zaciekle tłumaczyć.

PIĄTEK

Teraz wzięła się do biadolenia, że mam przestać zjeżdżać z wodospadu. A co to komu szkodzi? Mówi, że nie może na to patrzeć i że aż cała drży. Nie rozumiem dlaczego; w końcu robię to od dawna. Zawsze podobał mi się ten dresczyk emocji, lot i gwałtowny nur, wszystko oczywiście na chłodno. Czy nie po to właśnie jest wodospad? Nie wiem, jaki inny miałby być z niego pożytek, a przecież po coś musiał powstać. Jej zdaniem zrobiono go tylko dla dekoracji, jak nosorożca albo mastodonta.

Tak czy owak, następnym razem zjechałem w beczce — wciąż kręciła nosem. Zjechałem w łódce — też źle, też niedobrze. Potem jeszcze w kostiumie z listków figowych przepłynąłem wiry i progi, i to chyba jasne, że w takich warunkach strój musiał się trochę postrzępić — ale nie, gdzie tam, wyjdę tylko z wody i od razu słyszę marudzenia, jaki to jestem nieobyczajny. Tu się nie da oddychać swobodnie. Potrzebuję zmiany.

SOBOTA

Uciekłem w ostatni wtorek pod osłoną nocy, szedłem przez dwa dni, zbudowałem sobie nową chatkę w ustronnym miejscu i zatarłem swoje ślady tak dobrze, jak tylko potrafiłem — i wszystko na nic, bo oto wytropiła mnie z pomocą zwierza, którego oswoiła i nazwała wilkiem. Tak więc przysłała, a wraz z nią te nieszczęsne jęki i wylewanie wody z dziur, którymi patrzy. Nie było rady, musiałem wrócić, ale naturalnie wyemigruję przy pierwszej sposobności. Zajmuje ją cała masa głupot — na przykład dociekania, dlaczego zwierzęta zwane lwami i tygrysami żyją o trawie i kwiatach, podczas gdy, jak mówi, ich uzębienie wskazywałoby raczej, że powinny pożerać się nawzajem. Nonsens: pożerać się nawzajem to znaczy zabijać, a to z kolei, wedle mojej wiedzy, skutkowałoby czymś, co nazywa się *śmiercią*; a śmierć, jak mi powiedziano, jeszcze nie wkroczyła do parku. Co jest, w pewnym sensie, dość niefortunne.

NIEDZIELA

Jakoś poszło.

PONIEDZIAŁEK

Już chyba wiem, po co jest tydzień: tydzień jest po to, aby człowiek mógł odpocząć po znojach niedzieli. To całkiem niezły pomysł... Tymczasem ona znowu włązi na to drzewo. Musiałem obrzucić ją ziemią, żeby dała spokój. Ona mi na to, że przecież nikt nie patrzy. Najwyraźniej sądzi, że to dostateczne uzasadnienie, by wkładać palce między drzwi. Tak jej powiedziałem. Na słowo *uzasadnienie* jej oczy błysnęły podziwem — i chyba także zazdrością. To dobre słowo.

CZWARTEK

Powiedziała, że stworzono ją z mojego żebra. Teoria co najmniej wysoce wątpliwa, o ile nie po prostu zupełny absurd. Wszystkie żebra mam na miejscu... Motywem przewodnim ostatnich dni są jej problemy z myśłowem: że trawa mu nie służy, że niby powinien żywić się nadpsutym mięsem i że przez to nie da się nim odpowiednio zaopiekować. Trudno, myśłowowi musi wystarczyć to, co mamy. Nie będziemy wywracać świata do góry nogami, żeby zadowolić myśłowa.

SOBOTA

Wczoraj, kiedy przeglądała się w tafli wody, co zresztą robi bez przerwy, wpadła do jeziora. Prawie się utopiła i jej zdaniem to najnieprzyjemniejsza rzecz w świecie. W związku z tym zaczęła współczuć zwierzętom, które tam żyją, a które nazywa rybami, jako że wciąż uparcie okleja nazwami rzeczy, które nazw ani nie potrzebują, ani nie przybiegają na ich dźwięk, co być może dałoby jej do myślenia, gdyby nie fakt, że taki z niej kapuściany łeb; no więc wyciągnęła ich z wody, ile mogła, a wieczorem przeniosła do chatki i położyła w moim łóżku, coby nie zmarzły, lecz jak tak dzisiaj na nie patrzę, to jakoś nie wyglądają na specjalnie szczęśliwsze niż wcześniej, są natomiast niezwykle spokojne. Wyrzucę je z powrotem na zewnątrz, gdy tylko się ściemni. I żadnych więcej wspólnych nocy — zbyt są ośliszłe i nieprzyjemne w dotyku, szczególnie dla kogoś, kto śpi bez piżamy.

NIEDZIELA

Jakoś poszło.

WTOREK

Teraz zgadała się z wężem. Wspaniała wiadomość dla reszty zwierząt, bo dotąd ciągle zawracała im głowę swoimi eksperymentami. I dobra nowina dla mnie: wąż umie mówić, więc mogę wreszcie odpocząć.

PIĄTEK

Wąż poradził jej, aby spróbowała owocu z wiadomego drzewa, albowiem wyniknie z tego wielka i mądra i piękna nauka. Poinformowałem ją, iż wyniknie z tego coś jeszcze, mianowicie na świecie pojawi się śmierć. I to był błąd, trzeba było tę wiadomość zachować dla siebie; a tak tylko podsunąłem jej pomysł, jak uratować chorego myszołowa, a przynębionym lwom i tygrysom dostarczyć świeżego mięsa. Kazałem jej trzymać się z dala od drzewa. Ona na to, że ani myśli. Przeczuję kłopoty. Wyemigruję jak nic.

ŚRODA

Karuzela wrażeń, nie ma co. Tamtej nocy uciekłem — przez cały czas popędzałem konia, jakby nas kto ścigał, mając nadzieję wymknąć się z Parku i schronić w jakimś innym kraju, zanim będzie za późno; ale nic z tego. Było z godzinę po wschodzie słońca, jechałem ukwieconą łąką pośród tysięcy zwierząt, oddanych sennemu przeżuwaniu bądź niewinnej zabawie, każde zgodnie ze swoją naturą, kiedy nagle rozpętała się burza przeraźliwych ryków i w jednej chwili cała łąka zmieniła się w straszliwe kłębowisko walczących ze sobą bestii. Wiedziałem, co to oznacza — Ewa zjadła owoc i śmierć zjawiała się na świecie... Tygrysy pożarły mojego konia, chociaż wyraźnie nakazywałem im tego poniechać, i byłyby pewnie zjadły i mnie, gdybym tak tam stał i patrzył, czego oczywiście nie zrobiłem, wybraawszy zamiast tego pośpieszną ucieczkę... Znalazłem nowe miejsce, poza granicami parku, i przez parę dni żyłem w miarę wygodnie, ale znowu mnie odszukała. A gdy tylko mnie odszukała, zaraz nowemu miejscu nadała nazwę Tonawanda — bo to *wygląda* jak to właśnie. Szczerze mówiąc, tym razem nawet ucieszyłem się na jej widok, gdyż zbiory tutaj są wyjątkowo marne, ona natomiast wzięła ze sobą trochę tych nieszczęsnych jabłek. Cóż mogłem zrobić: głód tak mi doskwierał, że musiałem je zjeść. To wbrew moim zasadom, ale wychodzi na to, że zasadami człowiek brzucha nie napelni... Część ciała miała zasłoniętą pospłatanym listowiem, spytałem więc, co też znowu wyczynia z tym zielskiem, i gdy je z niej zerwałem, zaczęła się czerwienić i chichotać. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś się czerwienił i chichotał, i zdało mi się to idiotyczne i nieestosowne. Stwierdziła, że niedługo sam zobaczę, jak to jest. I miała rację. Jakkolwiek wciąż szalenie głodny, odłożyłem nadgryzione jabłko — z pewnością najlepsze, jakie miałem w ustach, a pamiętajmy, że to końcówka sezonu — i przyodziałem się w opadłe liście i gałęzie, po czym z niejaką szorstkością kazałem jej przynieść ich więcej i żeby już nie robiła z siebie takiego pośmiewiska jak przed chwilą. Potem zeszliśmy na łąkę, tam, gdzie zwierzęta stoczyły swój pierwszy krwiożerczy bój, aby pozbierać skóry, z których poleciłem jej uszyć parę strojów wieczorowych. Są nieco niewygodne, owszem, ale za to szykowne, a przecież w ubraniach właśnie o to chodzi... Okazuje się, że całkiem niezła z niej towarzyszka. Bez niej, skoro straciłem swoją posiadłość, byłbym samotny i przybity. Ach, i jeszcze jedno — jej zdaniem przykazano, że od teraz, aby przeżyć, musimy pracować. No to się przyda. Ja zajmę się nadzorem.

DZIESIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Niebywałe: jej zdaniem cała ta katastrofa to *moja* wina! Mówi, najwyraźniej szczerze i z przekonaniem, że Wąż zapewnił ją, iż zakazanym owocem były nie jabłka, tylko suchary. Odparłem, że w takim razie jestem niewinny, bo żadnych sucharów nie jadłem. A ona mi na to, że zgodnie z tym, co mówił Wąż, „suchar” ma znaczenie przenośne i że tak się mówi na stary, nieśmieszny żart. No i wtedy zbladłem, bo faktycznie, czasem wymyślałem sobie kawały, ot tak dla zabicia czasu, a że zdążyło się ich zebrać już całkiem sporo, to może niektóre rzeczywiście były sucharami, lecz daję słowo, że kiedy je mówiłem, wydawały mi się zupełnie świeże. Spytała, czy nie opowiedziałem przypadkiem kogoś w chwilę przed katastrofą. Musiałem się przyznać — w rzeczy samej, akurat wtedy wpadł mi do głowy taki jeden, choć nie wypowiedziałem go na głos. To było tak: wspominałem nasz wodospad, myśląc sobie: „Ach, jakże imponujący jest ogrom wodospadu Niagara!” — i nagle miałem przebłysk geniuszu, więc uwolniłem moją myśl skrzydlatą: „Ale równie imponujący jest ogrom głupoty pewnego Nieogara!”, i już miałem umrzeć ze śmiechu, kiedy wokół rozpętało się piekło, wojna wszystkich ze wszystkimi, i trzeba

było brać nogi za pas. „A widzisz”, powiedziała z satysfakcją, „wszystko jasne; dokładnie o tym mówił Wąż. To Pierwszy Suchar. Podobno powstał on wraz z resztą stworzenia”. Czyli to ja jestem winny — kto by pomyślał! Ech, i tak się kończy to całe dowcipkowanie. Gdybym był tylko tę jedną jedyną błyskotliwą myśl powstrzymał!

ROK PÓŹNIEJ

Daliśmy mu na imię Kain. Znalazła je w lesie, kilka mil od naszej ziemianki, już nie pamięta gdzie dokładnie. Mnie akurat wtedy nie było, polowałem na północnym brzegu jeziora Erie. To nowe jest trochę podobne do nas i może być z nami spokrewnione; a przynajmniej ona tak sądzi, ale moim zdaniem jest w błędzie. Różnica rozmiarów wskazuje niezawodnie, że to odrębny, nowy gatunek — być może ryba, choć pewności nie mam, ponieważ gdy wrzuciłem je do jeziora, ażeby zweryfikować swoje przypuszczenia, i to nowe zniknęło pod wodą, ona natychmiast wskoczyła za nim i wyciągnęła je na powierzchnię, przerywając tym samym eksperyment, który byłby pewnie dał zadowalającą odpowiedź na nurtujące nas pytania. Wciąż sądzę, że to ryba, ale jej w ogóle nie obchodzi, czym to w zasadzie jest, i już nie chce udostępnić mi go do dalszych badań. Dziwna sprawa. To małe stworzenie jakby całkowicie zmieniło jej naturę i odebrało resztki rozsądku w kwestii eksperymentów. Żadnemu innemu zwierzęciu nie poświęca tyle uwagi i nie podaje po temu żadnych powodów. W głowie jej się pomieszało, to jedyne wytłumaczenie. Czasami, kiedy ryba się skarży i ewidentnie pragnie wrócić do jeziora, nosi ją na rękach przez pół nocy. Wtedy znowu wylewa wodę z tych dziur, którymi patrzy, poklepuje rybę po plecach i wyczynia ustami jakieś dziwne, ciche dźwięki, aby ją uspokoić, przejawiając przy tym smutek i troskę na tysiąc sposobów. Nigdy nie widziałem, żeby z jakkolwiek inną rybą tak postępowała. To nieco martwiące. Zdarzało się jej, co prawda, w podobny sposób nosić małe tygrysy i bawić się z nimi, zanim jeszcze straciliśmy nasze włosci, ale to była tylko zabawa; ani razu, kiedy kręciły nosem na swoją kolację, nie angażowała się tak mocno.

NIEDZIELA

W niedzielę nie pracuje, leży za to cała wyczerpana, a ryba przetacza się po niej w tę i w tą. Nic, tylko się wyleguje i wydaje głupawe dźwięki, żeby ją rozbawić, albo udaje, że chce zjeść jej łapy, i wtedy ryba się śmieje. Nigdy w życiu nie widziałem ryby, która potrafiłaby się śmiać. Zaczynam wątpić w moją teorię... To nadzorowanie przez cały tydzień jest niezwykle męczące, toteż zdążyłem polubić niedziele. Powinniśmy mieć ich więcej. W dawnych czasach dawały człowiekowi w kość, ale teraz przydają się fest.

ŚRODA

To nie ryba. Cholera wie, co to jest. Kiedy coś mu nie pasuje, wydaje charakterystyczne, diabelskie odgłosy, a gdy wszystko w porządku, to mówi „gu-gu”. Nie jest jednym z nas, bo nie umie chodzić; nie jest ptakiem, bo nie lata; nie jest żabą, ponieważ nie skacze; nie pełza, więc nie jest też wężem. Jestem niemal pewien, że rybą także nie jest, choć wciąż nie mogę sprawdzić, czy potrafi pływać, czy nie. Zazwyczaj po prostu leży, najczęściej na plecach, z nogami w górę. Nie przypominam sobie, żeby jakiegokolwiek inne zwierzę tak się zachowywało. Powiedziałem jej, że moim zdaniem to nowe może być enigmą, ale ona tylko zachwyciła się samym słowem, nie rozumiejąc go w ogóle. Wedle moich przypuszczeń to jest albo enigma, albo jakiś owad. Jeśli umrze, zrobi się wiwisekcję i zobaczymy, co tam ma w środku. To bez wątpienia największa zagadka w mojej karierze.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Zagadka, zamiast zmierzać ku rozwiązaniu, wikła się tylko coraz bardziej i spędza mi sen z powiek. To nowe już nie leży, lecz pomyka tu i ówdzie na swoich czterech nogach. Mimo to różni się wyraźnie od innych czworonogów: na przykład przednie łapy ma niezwykle krótkie, przez co główną część ciała wznosi ku górze, sprawiając przy tym mało korzystne wrażenie. Zbudowane jest podobnie do nas, ale jego sposób poruszania się przeczy twierdzeniu, jakoby miał należeć do naszego gatunku. Krótkie przednie nogi

i długie tylne sugerują, że powinno się go zaklasyfikować jako kangura, znacząco jednak różnego od reszty, gdyż prawdziwy kangur skacze, ten zaś nie skacze nigdy. Jest to nie-
mniej przypadek wielce ciekawy; w dodatku tej odmiany jak dotąd nie opisano. Wziąwszy
pod uwagę fakt, że to ja ją odkryłem, za w pełni zasadne uznałem odnotowanie moich
zasług dla nauki poprzez nazwanie nowego zwierzęcia moim imieniem: *Kangaroorum*
Adamiensis... W chwili, gdy do nas trafił, musiał być bardzo młody, ponieważ od tego
czasu nadzwyczaj urosł. Jest chyba pięciokrotnie większy niż pierwszego dnia obserwacji,
a w reakcji na różnego rodzaju dyskomfort potrafi wydawać z siebie dźwięki dwadzieścia
dwa do trzydziestu ośmiu razy głośniejsze niż na początku. Zastosowanie wobec niego
w takich wypadkach środków przymusu jedynie potęguje reakcje negatywne, zaprzesta-
łem więc tego typu działań. Ona z kolei ucieka się do perswazji, dając kangurowi rzeczy,
których wcześniej mu odmawiała; i ta metoda, trzeba przyznać, daje wcale niezłe rezulta-
ty. Jak już wspomniano, nie byłem obecny, kiedy się pojawił; ponoć znalazła go w lesie.
Byłoby to dość osobliwe, gdyby stanowił jedyny egzemplarz swojego gatunku — a jednak
wszystko na to wskazuje, na próżno bowiem przez ostatnie tygodnie starałem się znaleźć
drugiego, aby powiększyć swoją kolekcję tudzież dostarczyć towarzysza zabaw temu tutaj,
dzięki czemu bez wątpienia stałby się spokojniejszy i łatwiej byłoby nam go poskromić.
Włożyłem w poszukiwania mnóstwo wysiłku — bezskutecznie. A co najdziwniejsze, nie
natrafiłem na choćby jeden ślad obecności drugiego kangura. Na pewno żyje na ziemi,
jakże więc to możliwe jest, żeby nie zostawiał żadnych śladów? Zastawiłem mnóstwo
pułapek, lecz bez powodzenia. Włazą w nie wszystkie małe zwierzęta z wyjątkiem tego
jednego, a wchodzą tam zresztą, jak sądzę, jedynie z czystej ciekawości, aby sprawdzić, co
u licha w pułapce robi mleko, bo nigdy go nie piją.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Kangur wciąż rośnie i zagadka już chyba nie może być bardziej zagadkowa. Żadnemu
z tych, które znam, nie zajmowało to tak długo. Na jego głowie pojawiła się sierść, ty-
le że niezbyt kangurza, za to wielce podobna do naszych włosów, tylko daleko cieńsza
i bardziej delikatna, i nie czarna, lecz ruda. Jeszcze chwila i naprawdę zwariuję przez tego
nieklasyfikowalnego dziwaka i jego rozkapryszony, zajadły rozwój. Gdyby tak udało mi
się złapać drugiego... ale na to nie ma co liczyć; to nowa odmiana — i jej jedyny okaz.
Takie są fakty. Znalazłem natomiast normalnego kangura i wziąłem go ze sobą, sądząc,
że ten nasz w swej samotności wolałby mieć towarzysza raczej takiego niż żadnego i że
ucieszy go zwierzę przynajmniej doń zbliżone, z którym mógłby nawiązać jakąś więź lub
które zapewniłoby mu trochę czułości w tym odosobnieniu, jakie niezawodnie musi czuć
pośród obcych, niezdolnych zrozumieć jego potrzeb i zwyczajów, i niepotrafiących prze-
konać go, że znajduje się wśród przyjaciół. No i to był błąd: na widok kangura podniósł
takie larum, iż nie ulegało wątpliwości, że żadnego wcześniej nie spotkał. Biedne, ha-
łaśliwe zwierzątko. Chciałbym mu jakoś ulżyć, ale nie mam pojęcia jak. Chociaż bardzo
się staram, nie potrafię go oswoić; cokolwiek zrobię, tylko pogarszam sprawę. Serce mi
pęka, gdy widzę, jak targają nim te wybuchy malutkich rozpacz i żalości. Próbowałem
ją przekonać, że powinniśmy puścić go wolno, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. To
wydało mi się okrutne i zupełnie do niej niepodobne; a jednak, być może, ma rację.
Przecież wtedy byłby jeszcze bardziej samotny. Bo skoro ja nie mogę znaleźć drugiego,
to jak niby *jemu* miałoby się udać?

PIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

To nie kangur. Nie, ponieważ trzymając się jej palca, potrafi przejść kilka kroków na
swoich tylnych nogach, po czym upada. Prawdopodobnie to jakaś odmiana niedźwie-
dzia, choć — jak na razie — brak mu ogona oraz futra, z wyjątkiem tego na głowie.
No i wciąż rośnie — zastanawiająca okoliczność, ponieważ przeciętny osobnik zwykle
dużo szybciej osiąga dorosłą postać. Niedźwiedzie są niebezpieczne — od czasu naszej
katastrofy — i niedopuszczalnym jest, aby ten tutaj biegał sobie swobodnie bez kagańca.
Zaproponowałem, że dam jej kangura, jeśli wypuści niedźwiedzia, ale nic z tego, naj-

widoczniej upodobała sobie te sto tysięcy zagrożeń, jakie mogą wynikać z jej uporu. Kiedyś nie była taka — zanim nie oczadziła do reszty.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Zajrzałem mu do pyska. Jak na razie nie ma powodów do obaw; ma zaledwie jeden ząb. Ogon jeszcze nie wyrósł. Hałaśliwy jest bardziej niż kiedykolwiek, i to głównie w nocy. Postanowiłem więc wyprowadzić się na jakiś czas. Będę jednak zaglądał tam porankami, coby zjeść śniadanie i regularnie sprawdzać stan paszczy. Kiedy już wyjdą mu wszystkie zęby, będzie musiał odejść, z ogonem czy bez ogona, bo niedźwiedziowi niepotrzebny ogon, żeby być groźnym.

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Przez miesiąc mnie nie było, polowałem w kraju, który ona nazywa Buffalo. Czemu tak, nie mam pojęcia, chyba że powodem jest fakt, iż nie ma tam ani jednego bawoła. Tymczasem niedźwiedź nauczył się samodzielnie dyrdać gdzie bądź na tylnych nogach. Do tego mówi — „dada” i „mama”. To bez wątpienia nowy gatunek. Podobieństwo tych dźwięków do prawdziwych słów może być, rzecz jasna, czysto przypadkowe, a one same pozbawione celu czy znaczenia, ale nawet jeśli tak jest, to cała sprawa wciąż nie traci nic a nic ze swej niesamowitości; żaden inny niedźwiedź tak nie potrafi. Ta imitacja mowy, w połączeniu z generalnym brakiem futra i całkowitym brakiem ogona, wykazuje ponad wszelką wątpliwość, że mamy do czynienia z nową odmianą niedźwiedzia. Dalsze badania będą z pewnością tylko bardziej ekscytujące. W międzyczasie ruszę z ekspedycją badawczą do lasów na północy. Gdzieś tam z całą pewnością kryje się choćby jeszcze jeden osobnik, a przy tym nasz niedźwiedź stanie się mniej niebezpieczny, kiedy będzie miał kompana tego samego gatunku. Wyruszam zaraz, tylko zmajstruję kaganiec.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Trudne, wielce trudne to były łowy, a zakończyły się zupełnym fiaskiem. Tymczasem ona, nie wyściubivszy nosa poza chałupę, złapała kolejnego! Takiego farta w życiu nie widziałem; a ja mógłbym pewnie jeszcze sto lat przeczesywać te lasy i niczego nie znaleźć.

NASTĘPNEGO DNIA

Porównanie obu osobników dowiodło niezbicie, że należą do tego samego gatunku. Chciałem wypchać jednego z nich, dzięki czemu fantastycznie poszerzyłbym moją kolekcję, ale ona z tego czy innego powodu nie chce się zgodzić. Dałem więc spokój, niemniej myślę, że niesłusznie. Gdyby kiedyś nam uciekły, byłaby to niepowetowana strata dla nauki. Ten starszy stał się spokojniejszy, potrafi też śmiać się i mówić jak papuga, czego z pewnością nauczył się drogą właśnie częstego przebywania w towarzystwie papugi, w połączeniu z wysoko rozwiniętym instynktem naśladowczym. Będę zdumiony, jeśli okaże się, że to nowy rodzaj papugi, a jednocześnie ani trochę mnie to nie zdziwi, skoro przez cały ten czas zdążyło to być już wszystkim, co tylko mogło przyjść mu do głowy, poczynawszy od tej ryby pierwszego dnia. Nowy jest równie brzydki jak starszy był wcześniej. Ma tę samą surowomięsno-siarkową karnację i tę samą dziwną głowę bez żadnej sierści. Nazwała go Abel.

DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

To chłopcy, jak już od dawna wiemy. To ten początek, kiedy pojawili się w tych małych, niedojrzałych ciałkach, tak nas zdezorientował; kto mógł przewidzieć, że tak to się potoczy? Teraz mamy także dziewczynki. Abel to dobry chłopak, natomiast jeśli chodzi o Kaina, to byłoby lepiej, gdyby pozostał niedźwiedziem. Po tych wszystkich latach zrozumiałem wreszcie, że myliłem się co do Ewy. Lepiej żyć z nią poza Ogrodem niż w Ogrodzie bez niej. Z początku wydawało mi się, że za dużo gada — ale teraz jakże bym cierpiał, gdyby jej głos pogrążył się w ciszy i zniknął z mojego życia. Błogosławiony

niech będzie suchar, który zbliżył nas do siebie i nauczył mnie, jak cenić piękno jej serca i słodycz jej ducha!

Pamiętnik Ewy

SOBOTA

A więc mam już prawie jeden dzień. Pojawiłam się wczoraj — przynajmniej tak mi się wydaje. I chyba tak być musi, ponieważ jeśli zdarzyło się jakieś przedwczoraj, to mnie przy nim nie było — inaczej bym pamiętała. Oczywiście mogło być też tak, że przedwczoraj jednak się wydarzyło, a ja go nie zauważyłam. Dobrze, od teraz będę bardzo uważna i jeśli przedwczoraj się pojawi, na pewno je odnotuję. Najlepiej będzie zacząć od razu, by nie pogubić się w liczeniu; coś mi mówi, że te wszystkie szczegóły będą kiedyś ważne dla historyków. Albowiem czuję się jak eksperyment, ni mniej, ni więcej, tylko jak eksperyment. To niemożliwe, żeby ktoś czuł, że jest eksperymentem bardziej niż ja w tej chwili, toteż dochodzę do przekonania, iż tym właśnie *jestem* — eksperymentem, tylko eksperymentem i niczym więcej.

Skoro jestem eksperymentem, to czy stanowią jego całość? Nie wydaje mi się — myślę, że cała reszta także do niego należy. Prawdopodobnie to ja jestem jego główną częścią, ale wszystko wokół również ma znaczenie. A jeśli tak, to czy mogę być pewna swojej pozycji, czy też raczej muszę strzec jej i pilnować? Chyba to drugie. Coś mi mówi, że ceną za pierwszeństwo jest nieustanna czujność (ha, to całkiem nieźle powiedziane, jak na kogoś tak młodego).

Dziś wszystko wygląda lepiej. Wczoraj, w gorączce ostatnich prac, góry zostawiono poszarpane, a niektóre łąki pokrywała warstwa resztek i odpadków po budowie, co sprawiało dość przygnębiające wrażenie. Kiedy się tworzy piękne i szlachetne dzieło sztuki, nie wolno się śpieszyć, a ten nowy świat w rzeczy samej jest dziełem najpiękniejszym i najszlachetniejszym, cudownie bliskim perfekcji, i to pomijając już fakt, że powstał tak szybko. Co prawda w pewnych miejscach gwiazd jest za dużo, w innych zaś zbyt mało, ale to bez wątpienia można poprawić. Z kolei wczorajszej nocy poluzował się księżyc — ześliznął się powoli po niebie i na koniec zupełnie wypadł poza obraz. To wielka strata i serce mi pęka, gdy o niej pomyślę. Pośród wszystkich zdobieni i dekoracji nie ma ani jednej, która pod względem piękna i wykończenia mogłaby się równać z księżycem. Powinien być solidniej przymocowany. Gdybyśmy tylko mogli go odzyskać...

Oczywiście nie wiadomo, gdzie trafił. A poza tym ktokolwiek go znajdzie, na pewno go schowa; wiem, bo sama bym tak zrobiła. W każdej innej sprawie potrafię być uczciwa, ale coraz wyraźniej uświadamiam sobie, że podstawą i sensem mojej natury jest miłość do piękna, prawdziwa pasja piękna, w związku z czym nierozsądnie byłoby powierzać mi cudzy księżyc, a już szczególnie bez wiedzy właściciela. Oddałabym może księżyc znaleziony za dnia, ze strachu, że ktoś mnie widział; ale gdybym znalazła go w nocy, na pewno wymyśliłabym jakąś wymówkę, żeby zachować go dla siebie. Nic nie poradzę — kocham księżyce. Są takie piękne, takie romantyczne. Moglibyśmy mieć ich pięć albo sześć; wtedy nigdy nie poszłabym spać, leżałabym tylko na trawie i patrzyła na nie bez końca.

Także gwiazdy są dobre. Chciałabym zdjąć parę i upiąć sobie we włosach, ale to chyba niemożliwe. Bylibyście zdziwieni, jak wysoko wiszą, o wiele wyżej niż się wydaje. Kiedy zeszłej nocy pojawiły się po raz pierwszy, próbowałam kilka strącić tyczką, jednak ku mojemu zdumieniu nie mogłam ich sięgnąć. Pomyślałam potem, że może trafić którąś kamieniem, ale nic z tego: rzucałam i rzucałam, bez skutku, w dodatku jestem leworęczna, więc słabo mi szło. Nie udawało się nawet wtedy, gdy starałam się tak spudłować, żeby trafić w inną gwiazdę niż ta, w którą niby celowałam, choć momentami byłam blisko — kamyk zmierzał prosto w złote gromady i mijał je o włos jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt razy, możliwe zatem, że gdybym popróbowwała jeszcze chwilę dłużej, któraś w końcu by spadła.

Trochę przez to popłakałam, co jest, jak sądzę, w pełni naturalne dla kogoś w moim wieku. Kiedy zaś nabrałam sił, wzięłam koszyk i ruszyłam w stronę brzegu tego koła, gdzie

Narodziny, Stworzenie

Księżyc, Gwiazda, Ogród,
Raj

gwiazdy są blisko ziemi i bez trudu można je ściągnąć rękami. To dużo lepszy sposób, ponieważ nie ma obawy, że gwiazda się stłucze. Jednakże brzeg jest dalej, niż myślałam, i w końcu musiałam się poddać. Byłam wyczerpana, a nogi tak mnie bolały, że nie dałabym rady zrobić choćby kroku.

Do domu wrócić nie mogłam; za daleko, a poza tym robiło się coraz chłodniej. Na szczęście znalazłam parę tygrysów i umościłam się między nimi, i było mi najwspanialej przytulnie, w dodatku ich oddech był słodki i przyjemny, ponieważ żywią się truskawkami. Nigdy wcześniej nie widziałam tygrysa, ale od razu poznałam je po paskach. Z tych skór, gdybym tylko mogła ja mieć, dałoby się zrobić piękną suknię.

Dziś trochę lepiej rozumiem, na czym polegają odległości. Dotąd pragnęłam chwycić każdą piękną rzecz, jaką zobaczyłam, i momentalnie wyciągałam po nią ręce jak głuptas — tymczasem rzecz raz była za daleko, a innym razem ledwie sześć cali ode mnie, choć wydawało się, jakby o całą stopę; i do tego jeszcze, niestety, pomiędzy kolecami! Dostałam nauczkę i przy okazji stworzyłam pierwszy aksjomat, zupełnie sama, z mojej własnej głowy: *Gdyby Ewa uważała, toby się nie podrapała*. Myślę, że jak na tak młodą osobę, wyszło mi naprawdę dobrze.

Wczorajszego popołudnia z pewnej odległości śledziłam inny Eksperyment, chcąc dowiedzieć się, do czego może służyć. Póki co, trudno stwierdzić. Wydaje mi się, że to mężczyzna. Nigdy wcześniej żadnego nie widziałam, ale to wyglądało jak mężczyzna i jestem niemal pewna, że to właśnie to. Zauważyłam też, że wzbudza we mnie większą ciekawość niż inne gady, o ile rzeczywiście — jak przypuszczam — jest to gad. Włosy ma raczej niechlujne, oczy niebieskie i wygląda jak gad. Nie ma bioder i zwęża się w dół jak marchewka, a kiedy stoi, rozpościera się jak dźwig portowy. Tak więc myślę, że jest gadem, choć to może też być jakiś element architektoniczny.

Z początku bałam się tego i za każdy razem, gdy się obróciło, uciekałam ze strachu, że zacznie mnie gonić. Dość szybko jednak okazało się, że to raczej ono unika mnie, więc nie byłam już taka nieśmiała i chodziłam za tym przez kilka godzin, jakieś dwadzieścia jardów z tyłu, przez co zrobiło się niezadowolone i nerwowe. W końcu musiało się porządnie zmartwić, bo wspięło się na drzewo. Czekałam dobrą chwilę, ale potem odpuściłam i poszłam do domu.

Dzisiaj to samo — znów wlaźło na to drzewo.

NIEDZIELA

Wciąż tam siedzi, najwidoczniej odpoczywa. Tyle że to jakiś szwindel: niedziela nie jest dniem odpoczynku, tylko sobota. Wygląda na to, że tego stworzenia nic tak nie interesuje jak wypoczywanie. Na jego miejscu dawno bym się zmęczyła. Siedzę, patrzę na to drzewo, i już to mnie męczy. Ciekawe, po co to w zasadzie jest. Nie widziałam nigdy, żeby cokolwiek robiło.

Wczorajszej nocy zwrócili nam księżyc. Byłam przeschęśliwa! Myślę, że to uczciwie z ich strony. Po jakimś czasie znowu ześlizgnął się i wypadł, ale mając takich sąsiadów, nie trzeba się martwić — na pewno zawieszą go z powrotem. Chciałabym się jakoś odwzięczyc, na przykład wysyłając im trochę gwiazd, ponieważ mamy ich pod dostatkiem. A w zasadzie to nie mamy, lecz ja mam, bo gad najwyraźniej zupełnie nie dba o takie rzeczy.

Stworzenie nie jest miłe i kierują nim raczej niskie pobudki. Kiedy wczorajszego wieczoru zaszłam pod wiadome drzewo, stało przy sadzawce i wylapywało małe, cętkowane rybki; aż musiałam obrzucić je ziemią, żeby dało im spokój. A może ono właśnie *po to* tu jest? Czyżby w ogóle nie miało serca? Żadnego współczucia dla tych biednych stworzeń? Czy to możliwe, że zaprojektowano to i wyprodukowano dla samych tylko nieprzyjemności? Takie sprawia wrażenie. Jednym z rzutów dostało w ucho i wtedy użyło języka — przeszedł mnie dreszcz, ponieważ pierwszy raz usłyszałam mowę inną niż własna. Słów nie rozumiałam, ale brzmiały dosadnie.

Kiedy okazało się, że umie mówić, zainteresowałam się tym na nowo, albowiem uwielbiam rozmawiać. Mówię bez przerwy, przez cały dzień, przez sen też mówię i, oczywiście, jestem bardzo interesująca, ale gdybym miała z kim rozmawiać, mogłabym być

Zwierzęta

Mężczyzna

Mężczyzna, Słowo

nawet dwukrotnie bardziej interesująca, i nigdy bym nie przestawała, gdyby ten ktoś tylko chciał.

Jeśli gad jest mężczyzną, to w takim razie nie jest *tym*, prawda? To byłoby niepoprawne gramatycznie. Jeśli nie *to* ani nie *ono*, to powinnam chyba mówić *on*. Tak mi się wydaje. W związku z tym stosować należy następujący paradygmat odmiany: mianownik — *on*; celownik — *jemu*; dopełniacz — *jegoż*. Uznam go więc za mężczyznę i tak będę o nim mówiła, przynajmniej dopóki nie okaże się czymś innym; zawsze to jakieś ułatwienie pośród całej reszty niewiadomych.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ, NIEDZIELA

Cały tydzień nie odstępowałam go na krok, próbując nawiązać znajomość. Był dość wstydliwy, więc mówiłam tylko ja, ale dla mnie to żaden problem. Wydawał się zadowolony z mojej obecności, w dodatku często mówiłam o „nas”, żeby było bardziej towarzysko, i to mu najwidoczniej schlebiało.

ŚRODA

Dogadujemy się już naprawdę nieźle i z każdym dniem poznajemy się coraz lepiej. Już nie próbuje mnie unikać, co dobrze wróży — znaczy, że lubi spędzać wspólnie czas. Cieszy mnie to, a żeby jeszcze bardziej zaskarbić sobie jego sympatię, staram się być pożyteczna w każdy sposób, jaki tylko przyjdzie mi do głowy. Przez ostatni dzień lub dwa na przykład wyręczałam go w pracy nazywania rzeczy, ponieważ w tej kwestii kompletnie sobie nie radził, i to na pewno było dla niego sporą ulgą, za którą jest mi wdzięczny. Nie potrafiłby wymyślić sensownej nazwy, choćby jego życie miało od tego zależeć, ale w żadnym wypadku nie daję mu odczuć, że jestem świadoma jego niedostatków. Za każdym razem, gdy pojawia się nowe stworzenie, nazywam je momentalnie, zanim zacznie narastać krępująca cisza, w której jego słaby punkt mógłby wyjść na jaw. Oszczędziłam mu w ten sposób mnóstwo wstydu. A poza tym to przychodzi całkiem naturalnie, bo kiedy tylko zobaczę jakieś zwierzę, natychmiast wiem, czym jest. Nie muszę się zastanawiać: właściwa nazwa pojawia się od razu jak olśnienie, zresztą to musi być właśnie olśnienie, skoro jestem pewna, że jeszcze przed chwilą tego czy innego słowa we mnie nie było. Patrzę na zwierzę, na jego kształt, zachowanie — i po prostu wiem.

Kiedy natknęliśmy się na dodo, mężczyzna myślał, że to żbik; widziałam to w jego oczach. Na szczęście udało mi się go ocalić. Uważałam przy tym, żeby nie urazić jego dumy. Tonem przyjemnej niespodzianki, która ani trochę nie wskazywała, że znajduje się w niej jakaś informacja, w pełni naturalnie powiedziałam: „Ach, nie inne przecież toto niż dodo!”. Wyjaśniłam — ale tak, jakbym wcale nic nie wyjaśniała — skąd mi się ten dodo wziął i choć czułam, że nieco go irytuje fakt, iż ja poznałam zwierzę, a on nie, to jednocześnie dość wyraźnie mnie podziwiał. Byliśmy co do tego zgodni i przed snem niejednokrotnie wspominałam to z wdzięcznością. Pomyśleć, jak mała rzecz potrafi nas uszczęśliwić, kiedy wiemy, że na to zasłużyliśmy!

CZWARTEK

Mój pierwszy smutek. Wczoraj unikał mnie i pokazywał wyraźnie, iż nie życzy sobie żadnych rozmów. Nie mogłam w to uwierzyć i zastanawiałam się, gdzie wkradł się błąd, bo przecież kochałam z nim być, kochałam go słuchać, więc jak to być mogło, że myślał o mnie źle, kiedy nic nie zrobiłam? A jednak tak było, siedziałam zatem samotnie w miejscu, gdzie zobaczyłam go po raz pierwszy tego poranka, kiedy nas stworzono, kiedy nie wiedziałam, kim jest, i był mi obojętny; ale teraz mieszkała tam rozpacz, każda, nawet najmniejsza rzecz przypominała o nim, a moje serce cierpiało. Nie do końca wiedziałam dlaczego. To było nowe uczucie, wcześniej mi nieznane; wszystko wydawało się tajemnicą, której nie sposób rozwikłać.

Ale gdy nadeszła noc, nie mogłam znieść samotności, ruszyłam więc do nowego szałasu, który w tym czasie zbudował, z pytaniem co złego zrobiłam i jak mogłabym to naprawić, aby odzyskać jego sympatię; ale wystawił mnie na zewnątrz, na deszcz. I to był mój pierwszy smutek.

Smutek, Samotność

NIEDZIELA

Znów jest dobrze i jestem szczęśliwa. To były trudne dni. Kiedy tylko mogę, staram się o nich nie myśleć.

Próbowałam zdobyć dla niego kilka z tych jabłek, ale wciąż nie umiem rzucać prosto. Nie udało mi się, niemniej myślę, że moje dobre chęci go zadowolily. Te jabłka są zakazane; mężczyzna mówi, że ściągnę na siebie krzywdę — lecz jeśli krzywda ma być ceną za jego zadowolenie, to jak mogłabym się taką krzywdą przejmować?

Jabłko, Poświęcenie

PONIEDZIAŁEK

Dziś rano powiedziałam mu, jak mam na imię, licząc, że się tym zainteresuje. Nic go to nie obchodziło. Dziwne. Dla mnie to byłoby ważne. Myślę, że gdyby podzielił się ze mną swoim imieniem, zabrzmiałoby piękniej niż jakikolwiek inny dźwięk.

W ogóle mówi bardzo mało. Być może dlatego, iż nie jest zbyt bystry, czego się wstydzi i co próbuje ukryć. Wielka szkoda, że tak na to patrzy, bo przecież bystrość nic nie znaczy; prawdziwa wartość jest w sercu. Chciałabym jakoś mu wytłumaczyć, że dobre, kochające serce to skarb, prawdziwy skarb, bez którego intelekt jest jedynie ubóstwem.

Choć mówi niewiele, ma całkiem bogate słownictwo. Dziś rano na przykład użył zaskakująco dobrego słowa. Na pewno sam też zauważył, że nieźle mu to wyszło, ponieważ powtórzył je później dwukrotnie, niby od niechcenia. Co prawda nad udawaną swobodą musi jeszcze nieco popracować, nie można mu jednak odmówić pewnych zdolności postrzegawczych. Trochę wysiłku i z tej mąki będzie chleb.

Skąd on zna to słowo? Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek go użyła.

Tak więc nie, moje imię go nie zainteresowało. Staralam się ukryć rozczarowanie, ale raczej bez powodzenia. Poszłam nad jezioro i siedziałam z nogami w wodzie na pokrytym mchem brzegu. Przychodzę tu za każdym razem, gdy potrzebuję towarzystwa, kogoś, na kogo mogę patrzeć, z kim mogę porozmawiać. To nie wystarczy — to piękne ciało namalowane na tafli — ale to zawsze coś, a coś jest lepsze niż kompletna samotność. Mówi, kiedy ja mówię; smuci się, kiedy mi jest smutno; współczuje mi i pociesza mnie: „Biedactwo ty moje, głowa do góry! Ja będę twoją przyjaciółką”, mówi, i faktycznie, *jest* moją dobrą przyjaciółką, jedyną, jaką mam; jest moją siostrą.

Imię, Rozum, Serce

A ten dzień, kiedy pierwszy raz mnie porzuciła, ach!, nigdy, przenigdy go nie zapomnę. Moje serce zmieniło się w kawał ołowiu. „Nie miałam nikogo prócz niej, a teraz odeszła!”, mówiłam, pełna rozpacz. „Pękaj, moje serce, bo dłużej żyć już nie mogę!”. Ukryłam twarz w dłoniach, czując, że nie ma nadziei — ale gdy opuściłam je po chwili, znów była przy mnie, biała i rozświetlona i piękna, i rzuciłam się jej na szyję!

Lustro, Szczęście

Chwila idealnego szczęścia. Zaznałam wcześniej szczęścia, ale nigdy w takim stopniu, to była ekstaza. Nigdy więcej w nią nie zwątpiłam. Zdarzało się czasem, że gdzieś sobie poszła, na godzinę albo i nawet na cały dzień, ale czekałam cierpliwie, mówiąc: „Pewnie jest zajęta, może wybrała się na wycieczkę, ale na pewno wróci”. I w końcu zawsze wracała. Zazwyczaj nie było jej w nocy — bo przecież mała i płochliwa z niej istotka — chyba że świecił księżyc, wtedy mogłam ją spotkać. Ja nie boję się ciemności, ale ona urodziła się po mnie, więc jest młodsza. Odwiedziłam ją już mnóstwo razy. W niej znajduję pociechę i ucieczkę w chwilach, kiedy życie staje się ciężkie — czyli przez większość czasu.

WTOREK

Cały poranek wprowadzałam ulepszenia w naszej posiadłości. Celowo też unikałam mężczyzn, a nuż zrobi się samotny i sam przyjdzie. Nie przyszedł.

W południe uznałam, że starczy na dziś i pora odpocząć — to znaczy hasać radośnie, ganiać gdzie bądź z pszczołami i motylami, i bawić się w kwiatkach, tych pięknych stworzeniach, które z nieba wyłapują uśmiech Boga, by zachować go na ziemi! Zebrałam ich trochę, posplatałam w wieńce i girlandy, a następnie, cała przystrojona, zjadłam lunch — jabłka, ma się rozumieć — i przysiadłszy w cieniu, czekałam. Nie przyszedł.

Kwiaty, Własność

Trudno, jakie to zresztą ma znaczenie, skoro on wcale nie dba o kwiaty? Nazywa je śmieciami, w ogóle ich nie rozróżnia i myśli w dodatku, że to czyni go lepszym. Ani ja go nie obchodzę, ani kwiaty, ani malowane niebo w wieczornej godzinie — czy cokol-

wiek na tym świecie jest dla niego ważne, oprócz stawiania jednej czy drugiej szopy, do której się wciśnie w obawie przed słodkim, czystym deszczem, oprócz rozbijania melonów, wsuwania winogron, obmacywania owoców na drzewach, żeby sprawdzić, jak tam sytuacja na włościach i kiedy zbiory?

Jeden suchy patyk położyłam na ziemi, a drugim próbowałam wydłubać w nim otwór, co stanowić miało pierwszy etap mojego nowego przedsięwzięcia, gdy nagle przeszył mnie dreszcz. Z dziurki unosiła się cienka, przezroczysta, niebieskawa smuga! Rzuciłam wszystko i uciekłam, myśląc, że to duch; byłam przerażona jak nic! Obejrzałam się w biegu — nie ścigał mnie, więc skryłam się za skałą, by chwilę odpocząć. Dyszałam ciężko, a moje ręce i nogi musiały się wydgotać. Kiedy wszystko we mnie w miarę się uspokoiło, zaczęłam podkraść się z powrotem, czujna, uważna, w razie konieczności gotowa pryskać raz dwa. Gdy byłam już blisko, rozchyliłam krzewy różane i zajrzałam ostrożnie (szkoda, że mężczyzny wtedy nie było w pobliżu, bo wyglądałam zjawiskowo), ale duch zniknął. W otworze, nad którym pracowałam, znajdowała się teraz odrobina różowego pyłku. Chciałam sprawdzić, jaki jest w dotyku — *auć!* — bolało okropnie. Palec włożyłam do ust, postękiwałam i podskakiwałam w miejscu, raz jedna noga, raz druga, aż załagodziłam moją niedolę. A potem na nowo porwała mnie ciekawość i rozpoczęłam badania.

Chciałam wiedzieć, czym jest ten różowy pyłek. Nazwa pojawiła się we mnie zniecka, choć nigdy wcześniej jej nie słyszałam. To był *ogień!* Byłam tego tak pewna, jak tylko można być czegoś pewnym, więc bez zawahania nadałam mu tę nazwę — ogień.

Stworzyłam coś, co nie istniało przedtem. Do niezliczonych właściwości świata dodałam nową rzecz. Gdy to zrozumiałam, poczułam dumę ze swojego osiągnięcia i zaraz chciałam pobiec do niego, opowiedzieć o wszystkim, myśląc, że w ten sposób zyskam w jego oczach; ale pomyślałam chwilę i zmieniłam zdanie. Nie — znów by mnie zignorował. Zapytałby, jaki będzie z tego pożytek, i co miałabym odpowiedzieć? To przecież nie było *pożyteczne*, tylko piękne, po prostu piękne...

Westchnęłam i nie poszłam — bo nie było z tego pożytku. Nie zbuduje się z tego chaty, nie powiększy melonów, nie przyspieszy zbiorów, bezużyteczne, żalosne, głupota i marność; wzgardziłby tym niezawodnie w jakichś szorstkich słowach. Ale dla mnie nie było w tym nic żalosego. Mówiłam: „Ach, drogi ogniu, moje cudne, misterne stworzenie. Kocham cię, ponieważ jesteś *piękny* — i to wystarczy!”. Niemał przycisnęłam go do piersi, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili. Potem wymyśliłam kolejną maksymę z mojej własnej głowy, choć brzmiała bardzo podobnie do pierwszej i obawiałam się, czy to przypadkiem nie plagiat: *Gdyby Ewa mądra była, toby się nie poparzyła.*

Wzięłam się do patyków raz jeszcze, a kiedy wykrzesalam już sporo ogniowego pyłu, spróbowałam przenieść go na wiązkę suchej, brązowej trawy, aby zabrać go ze sobą do domu, mieć zawsze przy sobie i móc się z nim bawić; ale nagle uderzył wiatr, pył rozprysnął się wraz na wszystkie strony i wystraszona wzięłam nogi za pas. Gdy zerknęłam za siebie, znów zobaczyłam niebieskiego ducha: rośł teraz niby wieża, rozszerzał się i odpływał jak chmura. W tym samym momencie pomyślałam o nazwie dla niego — *dym!* — choć, słowo daję, nigdy wcześniej o dymie nie słyszałam.

Po chwili z dymu zaczęły przebijać olśniewające żółto-czerwone blaski, które też od razu nazwałam — *plomienie!* — i znów miałam rację, choć to były pierwsze plomienie, jakie ten świat widział. Wspiwały się po drzewach, przebłykiwały wspaniale wśród wznoszących warstw skłębionego dymu, a ja klaskałam w zachwycie, śmiałam się i tańczyłam, takie to było nowe i dziwne, i niesamowite i piękne!

Teraz to nagle przybiegł; zatrzymał się i przez dłuższy czas tylko patrzył, nie mówiąc ani słowa. Później spytał, co to. Ach, że też musiał zadać tak bezpośrednie pytanie. Oczywiście musiałam odpowiedzieć, więc powiedziałam, że to ogień. Jeśli znów się nadąsał, bo ja coś wiem, a on musi pytać, to nie moja wina, wcale nie chciałam go denerwować. Milczał chwilę i odezwał się znowu:

— Skąd się wziął?

Kolejne bezpośrednie pytanie, które domaga się kolejnej bezpośredniej odpowiedzi.

— Ja go zrobiłam.

Ogień oddalał się od nas coraz bardziej. Mężczyzna podszedł do krawędzi wypalonego miejsca i stał tak, patrząc w dół, po czym zapytał:

— A to? Co to jest?

Ogień, Strach, Piękno,
Radość, Ciało

— Węgle.

Podniósł jeden z nich, aby mu się przyjrzeć, ale wnet zmienił zdanie i odłożył go z powrotem. I poszedł sobie. *Nic* go nie interesuje.

A mnie, owszem, ciekawi. Na ziemi leżał popiół, szary, miękki, delikatny i piękny — od razu wiedziałam, czym jest. Do tego żar, który także natychmiast poznałam. Przegarnawszy popiół, znalazłam moje jabłka; cieszyłam się, bo przecież jestem bardzo młoda, więc i apetyt mam wielki. Wtem — rozczarowanie, wszystkie jabłka były popękane i zepsute — i zaraz znów niespodzianka, zepsute tylko z pozoru, bo faktycznie smakowały lepiej niż surowe. Ogień jest piękny. Myślę, że kiedyś będzie przydatny.

PIĄTEK

Znów go widziałam, tylko przez chwilę, w ostatni poniedziałek o zmierzchu. Liczyłam, że pochwalę ostatnie ulepszenia, jakie wprowadziłam w naszej przestrzeni, ponieważ miałam dobre zamiary i pracowałam ciężko — nie spodobało mu się, znów odwrócił się i odszedł. Znalazł też inny powód do niezadowolenia: ostatnio raz jeszcze próbowałam go przekonać, żeby nie zjeżdżał z wodospadu. Wszystko przez to, że ogień rozbudził we mnie nowe uczucie, w rzeczy samej nowe i wyraźnie odmienne od miłości, smutku i wszystkich innych, które dotąd odkryłam — *strach*. Okropne! Wolałabym nigdy go nie poznać. Przynosi ze sobą jakąś ciemność, zatruwa moje szczęście, sprawia, że cała się trzęsę, dygocę, drzę. Ale nie przekonam go, on jeszcze nie zna strachu, także nie może mnie zrozumieć.

WYPIS Z PAMIĘTNIKA ADAMA

Może powinienem być bardziej wyrozumiały, mając na uwadze, że to po prostu bardzo młoda dziewczyna. Wszystko ją ciekawi, porywa, rozpala, świat jest dla niej czarem, cudem, zagadką, radością. Kiedy natrafi na jakiś nowy kwiat, zachwyt odbiera jej mowę i od razu musi go pieścić, głaskać, wachać, rozmawiać z nim i zalać potokiem czułych słówek. Ma też fioła na punkcie kolorów: brązowe skały, żółty piasek, szary mech, zielone listowie, błękitne niebo; perłowy świt, purpurowe cienie na stokach gór, złote wyspy dryfujące wśród karmazynowych mórz o zachodzie słońca, żegluga białego księżyca przez postrzępioną pierzynę chmur, gwiazdy jak klejnoty świecące w bezkresie kosmosu — wszystko, o ile mi wiadomo, bez wartości użytkowej, ale jej wystarczy, że mają barwę i majestat, i już można tracić głowę. Gdyby tylko mogła od czasu do czasu zamilknąć i usiedzieć na miejscu, byłaby to kojąca odmiana. W takim wypadku myślę, że mógłbym patrzeć na nią z przyjemnością; więcej nawet, jestem tego pewien, ponieważ coraz częściej zauważam, jak niezwykle urokliwym jest stworzeniem: zgrabna, zwinna, smukła, kształtna, zadbana, powabna. A kiedy pewnego razu stała na skale i z białą jak marmur skórą skąpaną w słońcu, głowę odchyliwszy do tyłu i dłońmi osłaniając oczy, śledziła lot ptaków na niebie, wtedy zrozumiałem, że jest piękna.

Poniedziałek, południe. Jeśli jest na tej planecie cokolwiek, na czym jej nie zależy, to ja nic o tym nie wiem. Mi na przykład niektóre zwierzęta są obojętne, ale jej podejście jest zupełnie inne — żadnego nie wyklucza, wszystkie przyjmuje z radością. Jej zdaniem każde z nich to skarb.

Pewnego razu potężny brontozaur wkroczył zamasyżycie na naszą posesję. Dla mnie to była katastrofa, ale ona widziała w tym wspaniałą niespodziankę — to dobry przykład różnic, jakie nas dzielą. Moim zdaniem trzeba było sprezentować mu posiadłość i wprowadzić się czym prędzej. Ona uważała, że wystarczy trochę czułości i będzie z niego uroczy pieszczoch; powiedziałem, że żaden pieszczoch o wymiarach dwadzieścia jeden stóp wysokości na osiemdziesiąt cztery stopy długości nie powinien być częścią gospodarstwa, ponieważ choćby nawet miał najlepsze intencje i nie chciał wyrządzić nam krzywdy, mógłby przypadkiem przysiąść na naszym domu i go zmiażdżyć, a ryzyko było duże, co stwierdziłby każdy, kto spojrzalby w jego nieobecne oczy, zdradzające niezłego gapę.

Mimo wszystkich przeciwwskazań jej serce już zdecydowało, że ten potwór musi z nami zostać. Zastanawiała się nawet, czy by nie założyć mleczarni i chciała, żebym pomógł go wydoić, ale odmówilem — to zbyt ryzykowne, pomijając fakt, że płeć się nie zgadzała, a my i tak nie mieliśmy drabiny. Potem przyszło jej do głowy, że można by na nim pojeździć, popodziwiać widoki. Jakies trzydzieści czy czterdzieści stóp brontozaurowego

ogona leżało na ziemi jak zwalone drzewo. Myślała, że może się na niego wdrapać, i to był błąd, bo kiedy dotarła do stromej części, ta okazała się zbyt śliska, więc zaczęła zjeżdżać i gdyby nie ja, ani chybi zrobiłaby sobie krzywdę.

I co, była zadowolona? Gdzie tam. Nie zadowoli jej nic oprócz przekonania się na własnej skórze, niesprawdzone teorie są nie do przyjęcia. Muszę przyznać, że to dobre podejście — pociąga mnie, czuję jego wpływ. Gdybym spędzał z nią więcej czasu, pewnie sam bym je przejął. Na temat tego kolosa miała jeszcze jedną teorię, wedle której gdyby udało się nam się go oswoić, mógłby stać w rzece i pełnić rolę mostu. Zwierz sam w sobie okazał się już dosyć łagodny — a przynajmniej ona tak sądziła — więc postanowiła przetestować swój pomysł. Plan jednak nie wypalił, ponieważ za każdym razem, gdy ustawiła brontozaura w rzece, chcąc potem wrócić na brzeg i przejść na drugą stronę, pszczoł wychodził z wody i podążał krok w krok za nią jak zakochana góra. Tak jak inne zwierzęta. Wszystkie to robią.

Wtorek — środa — czwartek — i dziś; każde bez niego. Długi czas w samotności; ale lepiej być samotną niż niemiłą widzianą.

PIĄTEK

Muszę mieć jakieś towarzystwo — właśnie do tego, jak sądzę, zostałam stworzona — więc zaprzyjaźniłam się ze zwierzętami. Są po prostu czarujące: mają najmielsze usposobienie i najgrzeczniejsze obyczaje, a jednocześnie nie widać po nich śladu zgorzknienia i nigdy nie dadzą ci poczuć, jakbyś im przeszkadzała — przeciwnie, uśmiechają się do ciebie i machają ogonem, jeśli takowy mają, zawsze gotowe do harców, zabaw, wycieczek, do wszystkiego, co tylko im zaproponujesz. Myślę, że zwierzęta to idealni dżentelmeni. Świetnie się bawiliśmy i przez cały ten czas ani trochę nie czułam się samotna.

Samotna! Nie, nic z tych rzeczy. Bo jakże, skoro zawsze wokół jest ich całe mrowie — czasem na cztery czy pięć akrów — i nie sposób ich zliczyć. Kiedy staniesz na skale, w samym środku tego futrzanego bezmiaru, i zobaczysz, jakie to wszystko nakrapiane radosnymi rozpryskami blasków, barw i światła, i jakie pomarszczone falami prążków i pasków, mógłbyś pomyśleć, że patrzysz na rozświetlone jezioro; a są tam jeszcze bu-rze rozweselonych ptaków, monsuny świszczących skrzydeł, więc kiedy słońce oświeci to pierzaste zbiegowisko, przed oczami masz feerię wszystkich kolorów, jakie tylko możesz sobie wyobrazić, wystarczającą, żeby zająć czymś oczy.

Przedsiewzięliśmy razem sporo długich wypraw i widziałam już kawał świata, myślę nawet, że prawie cały świat. To czyni mnie pierwszą, i jedyną, podróżniczką. Widok naszego marszu musi robić wrażenie, to widowisko naprawdę jedyne w swoim rodzaju. Dla wygody zazwyczaj jadę na tygrysie albo lamparcie, ponieważ są miękkie i mają grzbiety idealnie do mnie dopasowane, a poza tym to takie śliczne zwierzęta — kiedy zaś podróż jest dłuższa albo zależy mi na widokach, wtedy siedzę na słoniu. Podsadza mnie za pomocą trąby, ale zejść potrafię sama: gdy już pora rozbić obóz, słoń siada, a ja z tyłu zjeżdżam na dół.

Wszystkie ptaki i zwierzęta są przyjazne dla siebie nawzajem, nikt się z nikim nie kłóci. Każde z nich mówi, w dodatku mówią do mnie, ale najwyraźniej w obcym języku, ponieważ nie rozumiem ani słowa — z kolei one często rozumieją moje odpowiedzi, zwłaszcza pies i słoń świetnie sobie radzą. To trochę zawstydzające, bo dowodzi przecież, że są mądrzejsze ode mnie, a to ja chciałabym być naczelnym Eksperymentem, i takim zresztą zamierzam być.

Nauczyłam się wielu rzeczy i jestem już wykształcona, ale nie zawsze tak było: wcześniej byłam raczej nieokrzesana. Z początku drażniło mnie na przykład, że pomimo całej uważności nie mogłam trafić na moment, w którym woda płynie z powrotem w górę wodospadu. Teraz mi to nie przeszkadza. Eksperymentowałam raz i drugi, aż wreszcie zrozumiałam, że ona w ogóle w górę nie płynie — tylko w nocy. Na pewno tak jest, ponieważ jezioro nigdy nie wysycha, co oczywiście niewątpliwie musiałoby się stać, gdyby woda nie wracała doń po zmroku. Widzicie więc, że eksperymentowanie to najlepsza metoda, żeby coś udowodnić, bo wtedy się po prostu wie; kto zaś opiera się na snuciu domysłów, zgadywaniu i przypuszczaniu, ten nigdy nie będzie wykształcony.

Zwierzęta, Miłość, Podróż

Rozum, Mądrość, Smutek

Niektórych rzeczy zwyczajnie *nie da się* dowiedzieć, ale nigdy nie dojdiesz do tego, że się nie da, zgadując tylko i przypuszczając. Musisz być cierpliwy i eksperymentować do skutku, aż się dowiesz, że się nie dowiesz. I to właśnie jest wspaniałe, to czyni ten świat tak ciekawym. Gdyby nie było czego się dowiadywać, byłoby nudno. Nawet dowiadywanie się, żeby w końcu nie wiedzieć, jest równie zajmujące jak to, po którym się wie — bo wtedy wciąż nie wiem, ale nie wiem lepiej. Zagadka z wodą była skarbem, dopóki go nie odkryłam. Potem całe podniecenie uleciało i poczułam, jakbym coś utraciła.

Dzięki eksperymentom wiem, że drewno utrzymuje się na powierzchni wody, podobnie jak suche liście, pióra i wiele innych rzeczy, w związku z czym wiadomo, poprzez nagromadzenie dowodów, że skała również będzie pływać; ale tu trzeba zadowolić się samą wiedzą, gdyż nie ma sposobu, żeby to udowodnić, przynajmniej jak na razie, bo kiedyś ten sposób znajdę... i wtedy cała fascynacja *znowu* zniknie. To smutne, ponieważ z czasem, krok po kroku, dowiem się wszystkiego — a gdy dowiem się wszystkiego, to czym będę się ekscytować? A przecież tak kocham się ekscytować! Wczorajszej nocy ta myśl nie dawała mi spać.

Na początku nie mogłam zrozumieć, w jakim celu mnie stworzono — teraz myślę, że żyję po to, abym poznawała sekrety tego cudownego świata, cieszyła się nim i dziękowała Stwórcy za jego wymyślenie. Pewnie jest jeszcze wiele rzeczy do odkrycia; taką mam nadzieję. Jeśli będę oszczędna i nieco zwolnię tempo swoich badań, to tajemnic może starczyć na dobrych kilka tygodni. Choćby takie piórko: podrzucone do góry, unosi się w powietrzu i odlatuje; za to kamień, kiedy go rzucić, za każdym razem spada. Sprawdzałam to nie raz i nie dwa, zawsze z tym samym skutkiem. Ciekawe dlaczego? Oczywiście jest, że *nie spada*, ale czemu tak się *wydaje*? Przypuszczam, że to złudzenie optyczne. Jedno albo drugie, nie wiem które. Może piórko, może kamień. Nie umiem rozstrzygnąć, ale któreś musi być fałszywe, więc mogę jedynie przedstawić wam sytuację i sami zdecydować.

Z obserwacji wiem, że gwiazdy nie będą wieczne. Widziałam, jak najlepsze spośród nich topią się i ściekają z nieba. Jeśli jedna może się stopić, to mogą też wszystkie; a skoro tak, to wszystkie mogą zniknąć w ciągu jednej nocy. To nieszczęście kiedyś nadejdzie, jestem tego pewna. Zamierzam siedzieć każdej nocy i wpatrywać się w gwiazdy tak długo, dopóki nie zmorzy mnie sen — odcisnę obraz tych roziskrzonych równin w swojej pamięci, więc kiedy już zaczną zanikać, będę mogła w dowolnej chwili przywrócić tę przeducną obfitość na ciemne niebo i sprawić, że rozbłyśnie ponownie, a gwiazdy podwoją się rozmyte w moich łzach.

PO UPADKU

Gdy patrzę wstecz, Ogród wydaje mi się snem. Był piękny, niezrównanie piękny, czarująco piękny; a teraz jest stracony i nie ujrzę go nigdy więcej.

Utraciłam Ogród, ale odnalazłam *jego*, więc jestem spokojna. On kocha mnie na tyle, na ile potrafi — ja kocham go z całej siły, gorąco, z całą żarliwością mojej natury, co jest, jak sądzę, właściwe dla mojego wieku i płci. Kiedy pytam siebie, dlaczego tak w sumie go kocham, nie mogę znaleźć dobrej odpowiedzi i w zasadzie niezbyt jej potrzebuję. To musi być ten rodzaj miłości, który nie wynika z logiki czy obliczeń, dokładnie tak jak z miłością do innych gadów i zwierząt. Tak, myślę, że tak właśnie jest. Niektóre ptaki kocham ze względu na ich śpiew, ale Adam nie wzbudził mojej miłości śpiewem, nie, nic z tych rzeczy, im więcej śpiewa, tym większe mam wątpliwości co do tego pomysłu. A jednak proszę, żeby nie przestawał, bo chcę polubić wszystko, co go interesuje. To na pewno możliwe, ponieważ na początku nie mogłam znieść jego wrzasków, a teraz już mogę. Niby łyżka dziegciu w beczce miodu, ale trudno, do takiego miodu też się przyzwyczaję.

Nie wzbudził mojej miłości swoim intelektem, nie, w żadnym wypadku. Nie można go obwiniać za poziom jego inteligencji, bo przecież to nie on ją ustalał; jest taki, jakim stworzył go Bóg, i to wystarczy. Zresztą jestem *pewna*, że kryje się za tym jakiś prze-myślany plan, toteż z czasem jego umysł się rozwinie, choć prawdopodobnie chwilę to potrwa. W porządku, nigdzie nam się śpieszy. Poza tym Adam jest dobry taki, jaki jest.

Nie wzbudził mojej miłości swoją szarmancją ani uprzejmością. Nie, ma w tym względzie pewne braki, ale już teraz radzi sobie całkiem nieźle, no i robi postępy.

Miłość, Mężczyzna

Nie wzbudził mojej miłości swoją rzetelnością i zaangażowaniem, niestety nie. Myślę, że potrafi taki być, i nie mam pojęcia, dlaczego kryje się z tym przede mną. Tylko to mnie boli. W innych sprawach jest już szczery i otwarty, i wiem, że nie ukrywa niczego — tylko to jedno. Martwi mnie fakt, że postanowił zachować coś dla siebie i nie dzielić się tym ze mną, więc czasami ta myśl nie daje mi spać, ale w końcu wyrzucę ją z głowy. Nie ma co zatruwać sobie szczęścia, które poza tym przepelnia mnie całą i niemal wylewa się ze mnie.

Nie wzbudził mojej miłości swoim wykształceniem, nie, to nie to. Jest samoukiem i wie naprawdę sporo, tyle że są to rzeczy innego typu.

Nie wzbudził mojej miłości swoją rycerskością, ani trochę. Doniósł na mnie, ale trudno go winić — moim zdaniem to wynika ze specyfiki płci, a on swojej płci nie projektował. Oczywiście ja nigdy w życiu bym na niego nie doniosła, po moim trupie, ale to także jest specyfika płci i nie ma w tym żadnej mojej zasługi, ponieważ i ja nie projektowałam swojej.

Więc czym tę moją miłość wzbudził? *Zaledwie tym, że jest mężczyzną.* Tak sędzę.

W głębi duszy jest dobry i za to go kocham, ale mogłabym go kochać i bez tego. Jeśli będzie mnie bił, jeśli będzie się nade mną znęcał — wciąż będę go kochać. Wiem o tym. To pewnie kwestia płci.

Jest przystojny i silny, i za to go kocham, szanuję i podziwiam, ale mogłabym go kochać, gdyby nie miał żadnej z tych cech. Byłby nijaki, a ja kochałabym go. Byłby wrakiem, a ja kochałabym go i pracowała dla niego, harowała dla niego, modliła się za niego; i byłabym przy nim aż do śmierci.

No więc tak, kocham go zaledwie za to, że jest mężczyzną i jest mój. Nie widzę innego powodu. Jak już wcześniej mówiłam: to ten rodzaj miłości, który nie wynika z logiki czy obliczeń. Ona po prostu *przychodzi* — nie wiadomo skąd — i nie umie się wytłumaczyć. I wcale nie musi.

Tak właśnie myślę. Jestem jednak tylko dziewczyną, w dodatku pierwszą, która zgłębiała tę kwestię, więc może się okazać, że w swej niewiedzy i niedoświadczeniu pomyliłam się zupełnie.

Kobieta, Przemoc,
Poświęcenie

CZTERDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ

Tylko o to proszę, tego tylko pragnę: byśmy mogli odejść z tego świata razem; a to pragnienie będzie trwać wiecznie na ziemi, ponieważ schroni się w sercu każdej żony, która kocha, aż po kres czasu. I pragnienie to będzie wybrzmiewać moim imieniem¹.

Lecz jeśli jedno z nas musi odejść pierwsze — proszę tylko o to, abyś wziął mnie. Jestem słaba, a on jest silny, więc nie jestem mu tak potrzebna, jak on mi. Życie bez niego nie będzie życiem. Jak mogłabym to wytrzymać? I ta prośba będzie nieśmiertelna, i cały mój rodzaj będzie ofiarowywał ją Tobie. Jestem pierwszą żoną — i w ostatniej żonie się pojawię.

NAD GROBEM EWY

Adam: Gdziekolwiek była, *tam* był Eden.

Żona, Modlitwa, Śmierć

¹*I pragnienie to będzie wybrzmiewać moim imieniem* — nieprzetłumaczalna gra słów, polegająca na homonii imienia Eve oraz angielskiego rzeczownika *eve*, oznaczającego wigilię, a w sferze asocjacyjnej: wyczekiwanie, tęsknotę, pragnienie. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3.**

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/twain-pamietniki-adama-i-ewy/>

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Piotr Marcinków.

ISBN 978-83-288-7997-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.